

Aktor jest tułaczem

Choć na scenie tupiałem nóżką jak Freddie Mercury, to z przejęcia udo trzęsło mi się potwornie - mówi MARIUSZ OSTROWSKI, aktor Teatru im. Jaracza.

Emilia Maciaszczyk: - Aby zagrać w spektaklach Teatru im. Jaracza, dojeżdża pan dziś z Warszawy...

Mariusz Ostrowski: - Wielu aktorów żyje w takim „rozroku”, ale moim zdaniem ten zawód ma właśnie taki tułaczy charakter. Masz do wyboru: siedzisz gościnnie lub na etacie w jednym teatrze, w jednym mieście, albo szukasz. Uważam, że aktor powinien szukać: ról, które będzie tworzył i osobowości, z którymi będzie współpracował, bo to go rozwija.

W Łodzi mniej obecny jest pan jako aktor śpiewający, choć dostaje pan dobre recenzje, na przykład za role w spektaklach we wrocławskim Teatrze Capitol...

Z muzyką związany jestem od najmłodszych lat. W Studium Wokalno-Aktorskim w Gdyni uczyłem się śpiewu i gry na fortepianie. Musiałem opanować Etiudę rewolucyjną Chopina, a ja mam malutkie rączki jak na pianistę. Śpiew przewijał się też przez szkoły teatralne i towarzyszy mi w pracy zawodowej: w Łodzi w monodramie „Toporem w serce”, we Wrocławiu w musicalu „Frankenstein” i na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej, zaś w warszawskim Teatrze Studio gram w spektaklu „I love you”. Nie wiem, dlaczego w Łodzi moja muzyczna obecność jest sporadyczna. Bardzo dobrych muzyków tu nie brakuje, więc ze skompletowaniem zespołu nie byłoby problemu. To zawsze jest kwestia dyscypliny, samozaparcia, pomysłu.

W całym kraju odbił się za to echem projekt „Queen symfoniczne”, w ramach którego z łódzkim zespołem Alla Vienna śpiewa pan i wciela się w Freddiego Mercury’ego. Istnienie tego projektu odnotował nawet Brian May, gitarzysta Queen. W marcu zagracie w Operze Szczecińskiej...

Za każdym razem, gdy gramy, strasznie się denerwuję. Koncert trwa blisko dwie godziny, a ja wychodzę na ostatnie piętnaście minut do trzech utworów. I nie mogę zepsuć tego, co wypracował cały zespół. Bywały takie momenty, że choć na scenie tupiałem nóżką jak Freddie, to z przejęcia udo trzęsło mi się potwornie. Nim wyjdę zza kulis, biegam, ruszam się, by naładować się energetycznie, bo to są tylko trzy numery i nie ma szansy na budowanie dramaturgii. Wiadomo jednak, że figura Freddiego jest pewnym cytatem - nie odtwarzam go jeden do jednego. Bawię się tym cytatem i muszę to robić tak, żeby ludzie wiedzieli, że to cytat.

Zróbmy skok w przeszłość: debiutował pan na zawodowej scenie u Adama Hanuszkiewicza. Na wielu aktorach zostawiał swoją „pieczęć”. Na panu także?

Na pewno gdzieś to jest we mnie. On przyjął mnie do siebie, gdy byłem „nigdzie”. Zrobiliśmy dwie premiery. Jak dziś o nich myślę - dość dziwne. „Kordian 2002” oraz „Miłość i krew. Musical dygresyjny” o znamionach spektaklu edukacyjnego. Było pewne porozumienie między nami. Chociaż, gdy mieliśmy grać „Miłość i krew” dla Wojska Polskiego, mój monolog liczył półtorej strony, a po pierwszej próbie został ścięty o połowę strony. Po drugiej próbie o kolejne pół. Hanusz nie miał dla mnie litości. Z każdej próby wychodziłem zmięty jak ścierka, niemal zalany łzami. Chyba byłem za młody dla tak doświadczonego człowieka teatru. Prawdopodobnie mówiłem to płasko, niewiarygodnie. Na koniec zostało mi do powiedzenia jakieś piętnaście zdań. Ale zarobiłem, jak na tamte czasy, niewiarygodne pieniądze. Hanuszkiewicz sam przyniósł umowę do podpisania, rzucił i zarządził: „Podpisuj”. Miałem tę przyjemność, że zapraszał mnie do siebie do domu i ćwiczyliśmy monologi. Otwierała mi zawsze jego żona, Magdalena Cwenówna, kobieta niezwykle piękna. O ile wiem, nie każdego zapraszał. Myślę, że mieliśmy podobną energię i podejście do teatru.

O filmie „Jestem twój” Mariusza Grzegorzka, w którym zagrał pan kryminalistę Artura,

mówił pan, że reżyser kazał panu zagrać siebie: „wrażliwego, wychowanego na grach komputerowych człowieka, który ma w sobie dużo buntu”. To kokieteria czy rzeczywiście jest pan maniakiem gier?

Może nie maniakiem, ale jestem na bieżąco. Zwłaszcza że gry stają się coraz bardziej filmowe. W gry taktyczne i strategiczne jestem w stanie grać miesiącami.

Podobno boi się pan oglądać w samotności „Jestem twój” ze względu na silne emocje, jakie wywołuje...

Widziałem ten film może trzy razy. Jest rzeczywiście silnie emocjonalny. Montowałem niedawno nowe filmowe portfolio i oglądałem pewne fragmenty. Niektóre sceny są niewiarygodne. „Jestem twój” był na tyle wyrazisty, że został zauważony w środowisku artystycznym i nie tylko. Słyszałem, że tym filmem jest zainteresowana telewizja, z czym można wiązać pewne nadzieje na ponowne skupienie uwagi na nim. Z chęcią obejrzę go jeszcze raz. Można jednak powiedzieć, że to już całkiem stary obraz. Od czasu jego premiery w 2010 roku nakręcono kilkadziesiąt innych, o których było z jakiegoś powodu głośno. Czy był swego rodzaju furtką do innych ról? Z pewnością nie był bez znaczenia. Z drugiej strony: pięć lat wcześniej do oficjalnego konkursu Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni dostał się film „Spam” Radosława Hendela ze mną w roli głównej – autystycznego chłopaka, pozornie niewinnego, który zaczyna stanowić zagrożenie dla otoczenia. Myślałem wtedy: zagrałem dobrą rolę i oto jesteśmy w Gdyni. Tylko że boom jakoś nie przyszedł. Po dwóch latach od „Jestem twój” też nie czuję, by on nastąpił. Gdy w wieku dwudziestu dwóch lat zagrałem Kordiana, wydawało mi się, że świat stoi przede mną otworem. Myślałem: „Teraz się zacznie!”. Ale jeśli jesteś młody i ktoś ci nie pomoże, ktoś starszy, to nawet mając czterdzieści lat możesz wciąż grać Romea i liczyć, że twój wielki dzień nastanie.

Foto: Natalia Kalisz